

WŁADYSŁAW STANISŁAW
REYMONT

Przy robocie

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Przy robocie

— Wam coś jest?

— Ja nie wiem, co mi jest; od rana źre mnie jakaś chańdra niby pies połamanymi zębami, że miejsca sobie znaleźć nie mogę. Sznapsa pijecie, a?

— Dobrze. Kto wychodzi? Prawda, karty wyście rozdawali.

Umilkli i zaczęli grać.

Wiatr targał nędznym, skleconym z desek i gałęzi szałasem, przyciskającym się do nasypu kolejowego i z jednej strony zupełnie otwartym na świat. Płomienie palącego się przed szałasem ogniska syczały, zalewane ustawicznym deszczem, miały się na wszystkie strony, buchały snopami iskier i często rzucały głęby gryzącego, rudego dymu w twarze grających, którzy siedzieli na pniach przed trzecim, wyższym znacznie, żółcącym się, świeżo przerzniętym słojem, na którym kładli karty.

— Wychodzę z czterdziestu! — zawołał młodszy, z trudem rozpoznając karty w słabym brzasku ognia.

— Dobrze, ślicznieńki.

— Teraz podrzynam was, z dwudziestu!

— Same cudowności, milusi!

— Dobijam: as atutowy, co czyni siedmdziesiąt jeden i partya moja.

— Twoja, serdce, twoja — odpowiedział śpiewnym głosem, ale zupełnie obojętnie Gliniewicz. — Skrociłeś mi kurtę, serce moje, a!

— Nóżki na stół i płacić!

— Zapłaci się, serdce, jeno krzyknę na swoich chłopców.

Wyszedł przed szałas, za ognisko, dłonie zwinął koło ust w tubę i krzyknął:

— Chamy! a ruszać się tam.

Wiatr zakotłował gwałtownie, zakręcił się po szałasie, wyrwał kilka płonących szczap z ogniska i przepadł z niemi w nocy i szarudze październikowej. Gliniewicz cofnął się pod szałas, zapłacił i zaczął grać drugą partycję, spoglądając co chwila przed siebie w noc i nasłuchując.

— Raz... dwa... puszczaj! — rozległa się głucha komenda i huk kafarów, wbijających pale; a gdy ognisko, ustawicznie podsycane smolnemi szczapami, buchnęło żywszym płomieniem, wtedy wylaniały się z ciemności wysokie rusztowania podobne do wież, stojące znacznie niżej od ognia, i cały las olbrzymich pni sosnowych, odartych z kory, ustawionych obok siebie, i niewyraźne zarysy robotników, obracających kołowroty. Nasyp kolejowy był rozkopany na przestrzeni kilkudziesięciu metrów, stary most zniesiony i po obu stronach bystrej i wezbranej październikowymi deszczamiirzeczki wbijano pale pod fundamenty nowego mostu. Roboty prowadzono pośpiesznie.

— Raz dwa... Puszczaj! — kołowrót, ciągnący babę, stawał kleszcze rozwierały się, i baba, trzymana z tyłu przez dwie wysokie strzały rusztowania, zsuwała się po nich z szybkością piorunującą i uderzała w podstawiony pał z siłą czterdziestu pudów, aż wielkie wypory, podtrzymujące rusztowanie i umocowane przy ziemi w kwadracie z belek, a złączone przecznicą tak, że tworzyły literę A, trzęsły się i trzeszczały złowrogo.

— Jaazda... w góree!

Niby pająki, spadały ze szczękami kleszcze na babę, chwytaly ją zębami z wierzchu, rozlegał się zgrzyt kołowrotu, kilkanaście rąk zaciskało się silniej przy korbie, ośm postaci prężyło się ogromnym wysiłkiem i, wolno, automatycznie zginając się i podnosząc, obracali koło.

Ośm kafarów było bez ustanku, i na obu brzegach co chwila rozlegała się komenda, i co chwila przecinał powietrze ostry świst i huk głuchy, podobny do oddalonego grzmotu, drżał ciężko w zadeszczonym powietrzu i wstrząsał szalasem.

— Nie idzie wam karta?

— A cóż mnie szło kiedy, a? Nie mogę grać, ręce mi się trzęsą — rzucił karty na pień, wstał i krzyknął silnym zdenerwowanym głosem:

— Chamy! A ruszać się tam!

— Sznapsa pijecie, a? — Tamten nie chciał; Gliniewicz sam się napił, zapiął się starannie, kołnierzyk postawił i schodził ostrożnie po oślizgłej glinie zbocza nasypu ku palom, które w brzaskach ogniska lśniły się, niby kolumny z różowawego bursztynu.

— Psiakrew, taka noc! — mruknął, schodząc pomiędzy pale i macając co chwila kijem, aby nie wpaść w doły pokopane i pokryte tylko gdzieś tam tarciami, które się ze skrzypem gięły pod nim. Jakiś niepokój głuchy i obawa rozdrażniały go boleśnie, oglądał pnie, nie wiedząc sam po co, wlaził na drabiny patrzeć, czy sznury się nie drą, przypatrywał się rusztowaniom kafarów, tłukł się w ciemnościach o pale, potykał, kłął po cichu i głośno, przystawał i patrzył bezmyślnie w smugi ogniska, przedzierające się pomiędzy palami, na pochodnie, zatknięte nad samą rzeką przy pompach, pracujących bezustannie i skrzypiących okropnie tłokami.

— Pale idą dobrze, a? — pytał się przy kołowrotach.

— A idą, psichmac, idą kij w żelazo.

— Twardo, a?

— Świnia nie ziemia — mruzcili chłopci niechętnie.

Odsunął się i przypatrywał się ostrym, prawie zwierzęcym profilom ludzi, jakby zrosniętych z korbami, oblanych potem, zmokniętych i dyszących ciężko z wysiłku.

— Pochodnie dać! — krzyknął, schodząc do pomp. — Wody ubywa, a?

— Trzy cale od wieczoru, jest jeszcze z pięć.

— To jutro nie będzie jeszcze można budować fundamentów, a?

— Ludziom jaże gnaty skrzypią od roboty, a tu jeszcze ten deszcz, niech go marność, i ślipiów ozewrzeć nie można, tak bije i ciągiem zalewa skrzynie.

— Na psa taka robota! — mruknął któryś.

Gliniewicz szedł dalej, miał już przejść na drugą stronę rzeki, ale zawahał się jakby z obawy, powiódł wokoło oczami i usiadł przy kładce wąskiej, umocowanej na beczkach, szcepionych łańcuchami. Kafary były raz po raz z ponurym łoskotem, deszcz padał gęsty, drobny, dokuczliwy, przenikający chłodem do kości, a rzeka, ściśnięta cembrowinami, wzburzona, szumiała groźnie i biła w brzegi, targała się, jakby chcąc rozsadzać krępującą ją ścianę. Poza tą kładką, w którą woda biła bezustannie i obrzucała potokami rozbitej na miazgę piany, szarpiąca się, niby zwierzę na uwięzi — majaczały wieże rusztowań, masy pali i czarne sylwetki robotników, odcinając się na tle ogniska, niby na starej bizantyjskiej mozaice.

Gliniewicz bezmyślnie przyglądał się czarnej, poplamionej odbłaskami pochodni i ognisk wodzie, słuchał jej bełkotu tajemniczego, huku kafarów, głosów komendy i dziwnych, przejmujących go drżeniem głosów ciemności, która zdawała się obcisnąć świat w coraz szczególniejszą zasłonę, wisiała olbrzymimi strzępami nad ogniskami, kołysała się na wodzie, czaiła się pomiędzy palami w porozrywanych, przesiąkniętych światłem kłębach; zdawała się przenikać wszystko nawkróś i wszystko pokrywać i rozpraszać.

Zatrząsał się jakimś zimnym dreszczem, przygniatała go ta noc i te monotonne huki i śpiewy, podniósł się i krzyknął:

— Chamy! a ruszać się tam!

I jakby w odpowiedzi, po drugiej stronie zerwał się śpiew chóralny i rozplywał wolno, szarpany przez wiatr:

— Jedna baba z Pocieja!...

Z Pocieja...

Pokochała złodzieja —

Złodzieja!

Odpowiadano z tej strony rzeki i śpiew się ciągnął nieprzerwanie, przeplatany tylko hukiem bab bijących i głosem komend i brzmiał coraz wolniej, smutniej i ciszej, to przerywał się w jakimś chrapliwym akordzie i baby wtedy huczały głośniejsze i zgrzyt pomp przecinał ze świstem powietrze i deszcz pluskał z trzaskiem o nagie szkielety drzew, albo las, stojący z prawej strony, w którym nikt nie był, zakochał się gwałtownie pod uderzeniem wichru, wrony z krzykiem zrywały się z gniazd i, łopocząc i kracząc żałobnie, krążyły nad ogniskami i czepiały się rusztowań, ale zestraszony hukiem leciały dalej w noc.

— A ten złodziej głupi był,
Głupi był!
Co zarobił, to przepił,
To przepił!...

znowu wrzeszczały chrapliwe, przemęczone głosy.

Gliniewicz wrócił do szałas. Ognisko przygasło, chłop, który go pilnował, spał z okręconą workiem głową.

— Walek! ogień gaśnie, chamie, nie śpij! — krzyknął Gliniewicz i usiadł na pniu.

— Psi czas! — szepnął i spojrzał na lewo ku linii prowizorycznej. Szedł pociąg, słychać było coraz bliżej szczepek szyn, ziemia drżała i zaraz prawie pociąg wychylił się z łuku; niby czarny, długi potwór, świecący białymi ślepiami, przez którego żebra i kręgi buchało światło, przesuwając się wysoko, jakby nad ziemią, dysząc kłębam dymu, które wiatr rzucał pomiędzy fale i tłukł o las.

— Psi czas — sznapsa pijecie, a?

Towarzysz nie odpowiedział. Gliniewicz pił długo, później otulił się szczelniej w koczach i usiadł przy samym ogniu, ale nie mógł usiedzieć, wstawał, przechodził przed szałasem kilka kroków tam i z powrotem, powracał, znowu pił i coraz nieprzepraciej chciało mu się mówić, bo coraz głębiej wstrząsał nim jakiś niepokój niewytłómaczony, że już wytrzymać nie mógł. Położył się na ziemi, przy ogniu, wypił resztę wódki i zaczął prawie głośno rozmyślać.

— Ot tobie los, a? Trzydzieści lat włóczęgi... Brr... zimno! Chamie! drzewa na ogień! — krzyknął głośno, ale chłop się nie obudził. Gliniewicz patrzył się chwilę na niego pijanym, bezprzytomnym wzrokiem i znowu utonął w rozmyślaniu. — Trzydzieści lat robił i dorobił się czego? a! że, jak pies, na taki czas warować musi na zimnie i deszczu, a!

— Gliniewicz, masz pech, masz, serdce, pechmasz! Miesiąc gdzie byłeś, dwa, czy rok, zawsze w końcu iść musiał w świat, bo masz pech, bo zawsze się stawało jakie nieszczęście. Zaczekaj, serdce, a! — w Żubrach dobrze ci było, a? — no i co, stodoły się spaliły, kto winien, a? — Gliniewicz winien! Gliniewicz wziął kij, a i poszedł.

— A w Kijanach źle było, a? — Dobrze. Chłopa maszyna porwała. Kto winien, a? — Gliniewicz winien. A u jaśnie pana? — Dobrze. Gliniewicz dostał w pysk — dobrze, bo Gliniewicz miał tam żonę, jaśnie pan zleciał z brogu i zabił się. Gliniewicz winien — dobrze. Prząk palcem w plecy i jaśnie pan już na dole — Gliniewicz winien! Czy kto umarł, czy się zabił, czy się spalił, czy złodzieje okradli, kto winien, a? — Gliniewicz winien! — i Gliniewicz brał kij i szedł szukać nowej służby. Sznapsa pijecie, a? — Towarzysz nie odezwał się, wsparty o skarpę, na której był przystawiony szałas, spał w najlepsze. Gliniewicz się podniósł, świeżą butelkę z wódką wyciągnął z pod barłogu, pił długo i usiadł znowu na pniu, oparł się łokciami o drugi i zapatrzył się w ogień, siejący krwawe blaski na jego szarą, jakby z garncarskiej gliny modelowaną twarz, na nos długi i haczykowaty, na brwi szerokie, i w głębi bladych, wypełzonych oczu niebieskich, bardzo wypukłych i jakby wystraszonych, zapalał rubinowe skry. Szerokie sine usta drgały mu ustawicznie jakby w łkaniu powstrzymywanym, przysuwał się coraz bliżej ognia i napół przytomnie nasłuchiwał, a skoro dosłyszał rzadsze uderzenia bab, wychylał się i krzyczał chrapliwie:

— Chamy! a ruszać się tam!

I snuł dalej gorzkie i ciężkie rozmyślenia w kółko, z właściwym pijakom uporem.

— Ot tobie los, a! Sierotaś ty, Gliniewicz. Żonęś miał, a? Miał — umarła. Dzieciś miał, a? Miał — umarły. Familięś miał, a? umarła. Sierotaś Gliniewicz, a? — Sierota — dopytywał się i odpowiadał sobie coraz senniejsze — Gliniewicz winien, a? — Winien!

Kafary huczały i wciąż były ze straszliwą automatyczną jednostajnością, a rzeka szamotała się i pluskała w wązkim korycie z wściekłością coraz większą, a deszcz padał nieustannie, w blaskach ognisk widać było, jak nieskończone, skośne promienie wody, niby stalowe nici, uderzały w ziemię. Noc wlokła się ciężko, bez gwiazd, i jakby nigdy nie miał być dzień, tak ciemności świat zalały.

— Gliniewicz winien, a? — Winien Gliniewicz — szeptał, powieki zaczęły mu ciężyc, senność opanowała go gwałtownie. Budził się na chwilę, nasłuchiwał huków, oglądał się dokoła i znowu drzemał i śnił i rozmarzał się przypomnieniami, które w chaotycznie splątany kłębie przewalały mu się przez mózg, to się jakby staczał w jakąś głąb, to przez sen obejmował pień rękami i cichym, smutnym głosem, ze łzami, które mu płynęły z pod zamkniętych powiek, szeptał: — Winien Gliniewicz, winien — i jęczał ciężko, chciał się zerwać, iść; nie mógł, bo pień ścisnął jeszcze silniej i znowu spał cicho, albo się podnosił bezprzytomnie i odruchowo krzyczał:

— Chamy! a ruszać się tam! — siadał i spał dalej.

Naraz podniósł głowę, przerażenie zabłysło mu w oczach, wyciągnął rękę, jakby chciał krzyknąć, ale w tej prawie chwili rozległ się jakiś trzask, potem huk ogromny, aż ziemia zajęczała i jeden tylko, ale długi, przejmujący, okropny ryk ludzki rozdarł powietrze i brzmiał strasznie w nagłej ciszy, jaka się zrobiła.

Gliniewicz oprzytomniał zupełnie i pobiegł do kafarów.

Jeden z kafarów z całym rusztowaniem zwałił się i zmiażdżył chłopą, trzymającego sznury od kleszczów.

— Pochodni! — ryknął straszonym głosem Gliniewicz, rzucił się do stosu pogrucho-tanych desek i pierwszy zaczął je odwalać z gorączkowym pośpiechem, bo z pod nich wydobył się ciężki, przytłumiony jęk przywalonego.

— Rozwalać, psiakrew! — krzyknął na chłopów, ruszających się apatycznie. Przyniesiono pochodnie i po chwili wyciągnięto z pod drzewa chłopą, odniesiono go nieco na bok, nad rzekę. Gliniewicz skrapiał mu twarz wodą, rozcierał ręce, dmuchał w nozdrza, ale chłop już nie odzyskał przytomności i konał.

— Jezus! — rzeżał chrapliwie, wciągał wykrzywionymi ustami powietrze, wypręzał się, że aż głową wygniatał dół w rozmokłej glinie, przymykał oczy, bo mu z rozbitej głowy krew lała się strumieniem po twarzy i ściekała aż na piersi.

Chłopi stali wokoło z tępym, rezygnacyjnym wyrazem w twarzach, pobrudzonych przy robocie, świecących się od deszczu w świetle pochodni, rzucających brudne smugi światła na twarz umierającego i na Gliniewicza, który, widząc, że wszelki ratunek nic nie pomoże, stał z boku i z ponurym błyskiem oczu patrzył się w światła. Z drugiej strony rzeki dochodził jednostajny huk bab i śpiew:

Nima to ci, jak młynarzom,
Bo na słońce nie wylażom.

— Jezu! — zacharczał znowu konający, chciał się unieść, ale brakło mu sił, zaczął rwać palcami ziemię, zgrzytać i drgać konwulsyjnie całym ciałem.

— Grzela! — szepnął któryś z chłopów, przykłękając; konający rzeżał coraz bardziej, otwierał usta szeroko, połyskując dwoma rzędami białych zębów. Chłop jakąś brudną szmatą związał mu rozłupaną głowę, obtarłszy mu kapotą twarz zakrwawioną, zdjął czapkę, zabił w ziemię, tuż przy głowie umierającego, jedną z latarni i zaczął drżącym głosem pacierz.

— „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Ament”.

— Ament — odpowiedzieli, klękając wokół i odkrywając głowy. Jakiś tragiczny nastroj rozlał się nad nimi w tej nagłej ciszy, jaka zapanowała, bo i na drugiej stronie kafary umilkły i widać było szeregi cieniów, przesuwających się po kładce na rzece.

— „Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje” — mówili głośno i z namaszczeniem; ten prosty pacierz za konającego i ten prawie już trup, co tam rzeżałostatniem tchnieniem, rozkrzyżowany w walce ze śmiercią, przenikał taką powagą i majestatem, że się chylili z bojaźnią, że ból i strach zaczął świecić we wszystkich oczach i zginać coraz niżej karki i głowy i wyrzywać głębokie westchnienie — „Bądź wola Twoja, jako w niebie, taki na ziemi”.

Brzmiał coraz ciszej pacierz i usta się trzęsły, łzy migotały w oczach, żal i trwoga przegryzały twarde, kamienne serca i nieulekłe, zbydlęcone pracą dusze korzyły się ze łkaniem w nagłym, okropnym kurczu strachu przed śmiercią.

Tylko Gliniewicz nie klęczał, patrzył na konającego, na jego starą, zniszczoną twarz, na głowę związaną, na klęczących, co się pochylali aż do ziemi, bili się w piersi wolnym automatycznym ruchem, tym samym, jakim kręcili kołowroty, i powtarzał sobie ciągle i bezmyślnie prawie:

— Gliniewicz winien, a? — Winien.

Grzela skołał, narzucili na niego kapotę, zrobili rodzaj przykrycia z desek, żeby nie mógł, i powracali wolno do roboty. Kołowroty zaczęły skrzypieć wolno i baby, choć zrzadka, biły z dawną siłą, pompy piszczwały tłokami, wszystko wracało do dawnego, tylko Gliniewicz wciąż widział przed sobą wysadzone z orbit oczy, rozbitą, buchającą krwią głowę i usta rozwarłe szeroko, połyskujące rzędami białych zębów i krzyczące: Jezus! — i wciąż powtarzał w kółko:

— Gliniewicz winien, a? — Winien!

Zeszedł na brzeg, tam, gdzie nie dochodził żaden promień światła, usiadł na cembrowaniu i siedział. Jakies straszne łkanie rozrywało mu piersi, dusiły go łzy, łamała rozpacz nieopowiedziana, a nie mógł wyrwać z siebie ani jednej myśli, siedział, jak martwy, bez ruchu, zapatrzony w czarny, ruchomy odmęt, co szumiał przed nim, bryzgał na niego pianą i lizał mu stopy. W lesie, który stał zaraz, czarną ścianą, rozlegały się jakies krzyki, hukania, jęki smutne, to rzeka rozbijała się pomiędzy drzewami, bulgotała, jakby płaczem, to druty telegraficzne zaczęły jęczeć żałośliwie, trząść się, zawodzić dziką i przejmującą pieśń, niby arfa eolska, na której noc wygrywała swoje melodie tajemnicze, to jakies ptaki z krzykiem zrywały się z drzew, to wiatr zmaćcił wszystko, rzucił się na las, prześwistywał, guszył odgłosy kafarów, bijących już z dawną ciągłością — to przyciszało się i od kafarów popłynęła smutnie zawadzona pieśń.

— Gliniewicz winien, a? — Winien Gliniewicz, winien — powtarzał i podnosił się, jakby chciał wziąć kij i iść w świat, i już widział przed sobą drogi, tułaczka, nędzę dawną, głód, poniewierkę... i opadł ciężko z powrotem, bez sił, i łzy, powstrzymywane długo, polały mu się po twarzy gryzącym strumieniem. Upadł na ziemię i nie mógł już nic mówić, ani myśleć, tylko płakał, płakał, płakał...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/przy-robocie>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Stanisław Reymont, W porębie, Przy robocie, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1907.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: [amira_a@Flickr](#), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0800-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.